

Poprawiny

Halina Grochowska

Poprawiny



POPRAWINY

WYDANIE PIERWSZE,

ISBN 978-83-67348-02-7

©Halina Grochowska i Wydawnictwo Agrafka 2022

REDAKCJA I KOREKTA

Anna Jakubek

SKŁAD I ŁAMANIE

Teresa Witkowska

OKŁADKA

Krzysztof Fabrowski

DRUK I OPRAWA

Partner Poligrafia

WYDAWCA

Wydawnictwo Agrafka

ul. Macierzankowa 15; 64-514 Przecław

e-mail: wydawnictwo.agrafka@gmail.com

www.wydawnictwoagrafka.pl

Dla mojej wnuczki Alicji

Miasto

Do godziny piętnastej

Zuzannę wkręcił do biura brat znajomej jej mamy. Za załatwienie sprawy dla tej znajomej mama Zuzanny zrobiła na drutach śliczny sweterek.

Bez problemów i jakichkolwiek znajomości można by było dać Zuzannę do produkcji na taśmę. Tam trafiały też dziewczęta wykształcone – nawet po technikum! Ale ostatecznie biuro to biuro!

- Co z tego, że w fabryce. Na akordzie zarobiłaby nawet o połowę więcej – rozważały co bardziej życiowe kumoszki i miały sporo argumentów na wyższość pracy umysłowej nad fizyczną.

- W biurze się tak nie umęczy. W biurze ciepłutko, czyściutko, widno – nie tak, jak w zaułkach fabrycznej hali.

- W biurze może pojawiać się wystrojona jak motylek. Nie musi wkładać jakiegoś fartucha albo kitla.

- W biurze może mieć polakierowane paznokcie, może poplotkować, wypić herbatkę.

- Przy takiej urodzie to może nawet zrobić karierę: złapać jakiegoś inżyniera i zostać potem panią domu, zamiast przez całe życie urabiać się po łokcie w fabryce.

Praca w technicznych, inwestycyjnych i administracyjnych sektorach kombinatów - zwłaszcza tych wielkich, sztandarowych (za wczesnego Gierka) - bywała bardzo nużąca. Trzeba było co rusz podjąć jakiś zajmujący temat, by nie skończyć z nudów albo - co nie byłoby dobrze widziane przez kierownictwo - nie pozasypiać przy biurkach.

Zainwestowane środki pozwalały zatrudnić na biurowych stanowiskach trochę więcej pań i panów, niż to było konieczne. Działo się tak najprawdopodobniej dlatego, że zdaniem góry na rozwój kombinatów trzeba patrzeć optymistycznie i zakładać ich dalszy rozwój. Zresztą po skompletowaniu kadry administracyjno-przygotowawczej bardzo często okazywało się, że ze względów rodzinnych albo towarzyskich, albo jeszcze innych, trzeba by komuś z krewnych ważnej osoby załatwić pracę. W miarę dobrą, więc najlepiej biurową. Wtedy dla usprawnienia efektywności jednostki gospodarczej zatwierdzano sens utworzenia jeszcze jednego stanowiska referenta albo specjalisty.

Tam, gdzie zatrudniono Zuzannę, na załatwienie spraw związanych z obowiązkami służbowymi wystarczało poświęcić jedną, góra dwie godziny dziennie. Na zwykłe pogaduszki o tym, co u kogo, wystarczyła godzina, najwyżej dwie, a tu trzeba jakoś do tej piętnastej dotrzeć. Tak, żeby nie nabawić się przez wypalenie nadmiernej liczby papierosów bólu głowy.

W piątki, po czwartkowych filmach kryminalnych, trochę czasu schodziło na opowiadaniu treści odcinków z greckim porucznikiem Kojakiem albo angielskim detektywem Świętym, aby zrozumieć do końca intrygę ci, którzy przy oglądaniu wczorajszego odcinka byli nieuważni albo coś przeoczyli. We wtorki próbowano zanalizować treść poniedziałkowego Teatru Telewizji, a w pozostałe dni tygodnia trwały dyskusje nad losami innych filmowych bohaterów. Najchętniej tych z francuskich albo amerykańskich filmów.

Miło było wieczorami godzinę albo dwie popatrzyć w telewizor. Obejrzyć choćby na kryminalnych serialach przestronne apartamenty, wielkie, rozłożyste sofy, podświetlane barki, eleganckie, bo zawsze jakby świeżo od fryzjera i od krawcowej panie, nawet ta, która okazała się zabójczynią. Czasem ktoś,

co prawda, zauważył, że w pomieszczeniach prywatnych, mieszkalnych kobiety są prawie zawsze w szpilkach, a panowie w świeżutkich garniturach, ale co tam! Dobrze przy telewizji zapomnieć o kolejkach, ratach i pończochach do zacerowania.

Przeczekiwanie do końca pracy w biurze, do godziny piętnastej, czasem tak nużyło, że chętnie dzielono się spostrzeżeniami na temat nieobecnych. W mniejszych grupkach i podgrupach odbywała się intrygująca szeptanina o niesprawiedliwości, układach i sitwach. Gdyby zresztą takich nie było, to przy nadmiarze wolnego czasu łatwo przychodziło takie stworzyć. Często prowadzona przy stojących w załomach korytarzy popielniczkach rozmowa przy dymku skutkowałą zawiązywaniem się innych układów i sojuszy niż te, które właśnie wykryto. Chodziło o to, że w biurowej społeczności pod względem uposażenia, zakresu obowiązków i kompetencji nie było sprawiedliwości. Jakim cudem miałyby być sprawiedliwie, jeśli nigdy nigdzie nie da się do tego doprowadzić, aby każdy był zadowolony z takiej sprawiedliwości, jaką właśnie zaprowadzono?

W dniu wypłaty w okienku kasy wyłożona była lista płac. Szukając swojego nazwiska do pokwitowania odbioru gotówki, każdy mógł uważnie przejrzeć

rubryki kolegów z wypisanymi kwotami poborów. Nikomu nie przyszłoby do głowy wprowadzać aż takiego wersalu, by utajniać zarobki. Przy ogólnej wiedzy o tym, kto co robi i ile za to ma – zawsze było nad czym dyskutować. Zresztą sędzę, że zawsze będzie!

Najczęściej obgadywaną i krytykowaną za nieudolność osobą był zaopatrzeniowiec. Jeździł biedaczysko po hurtowniach i centralach z drobnymi upominkami od biura – paczkami kawy lub czekoladkami, żeby przyspieszać tok realizacji zapotrzebowań, ale i tak mało kto jego dwojenie się i trojenie doceniał.

- Dlaczego tego nie ma, tamtego nie ma?

Kiedy tak złorzeczono zaopatrzeniowcowi, znalazł się ktoś sprawiedliwy i odezwał się:

- U mojej siostry w spółdzielni też narzeka się na zaopatrzeniowca i też podobno jeździ on z łapówkami w delegacje, i też niewiele udaje mu się załatwić. Twierdzi, tak samo jak nasza pani Danusia, że wszędzie jest wąskie gardło, że nie ma i nie wiadomo, kiedy będzie.

Jeszcze jeden temat w biurze, w którym zatrudniono Zuzannę, był bardzo długo aktualny – która usidli nowego, przystojnego inżynierka odpowiedzialnego za przygotowanie produkcji w zakresie budowlanym.

Pracownicy biura zaczęli zadawać sobie to pytanie wtedy, kiedy nagle co niektóre młodsze, niezamężne jeszcze koleżanki zaczęły się stroić i trochę dziwnie zachowywać. Zuzanna i Bogusia na przykład na wyścigi biegały sobie w kierunku biura technicznego – mówili od kilku miesięcy złośliwcy. Obie młode kobiety grały w te swoje podchody świadomie, z premedytacją, a nawet z rosnącą determinacją.

Bogusia tak Władkowi wprowadzała kolejne dokumenty do dziennika prowadzonych prac remontowych, żeby jak najczęściej zawracać głowę inżynierowi. Zuzanna zaś pożyczczała i odnosiła wspólny czajnik elektryczny tak często, jak się dało. Wchodziła krokiem najłżejszym, jakim tylko potrafiła. Po prostu przyfruwała. Jakiś metr od biurka Władka robiła coś podobnego do połówki piruetu po to, żeby strzelić oczyma ze starannie umalowanymi rzęsami, prześlizgnąć się wzrokiem i skromnie spuścić powieki. Nie zdawała sobie sprawy, że identyczny co do ułamka sekundy i co do geometrii gestów taniec godowy wykonywała przed laty jej matka. Tak samo mocno chciała spodobać się ślicznemu i zamożnemu chłopakowi sprzedającemu w sklepie. Tak samo usilnie i bezskutecznie starała się ukryć zauroczenie. Tak samo było ono dla otoczenia czytelne, bo tak

samo matkę Zuzanny, jak i teraz samą dziewczynę zdradzał rumieniec.

- Jest coś na rzeczy w tych częstych wizytach w biurze planowania produkcji jednej i drugiej rywalki - zauważył ten i ów z Wydziału Inwestycji i Przygotowania Produkcji Kombinatoru. Ten i ów próbował oszacować, która z pań wychodzi stamtąd bardziej zarumieniona, i wywnioskować na tej podstawie, jaką ma szansę na zdobycie chłopaka.

Ta rozgrywka miała tyle samo kibiców po wszystkich stronach. Mówiono wiele, a nawet bardzo wiele bzdur.

- Tak popatrzeć na mężczyznę to wstyd. Ja w czasach młodości bym się wstydziała robić takie podchody i takie maślane oczy - komentowała pani Stefa z bufetu, w którym zza kontuaru mogła niejedno dosłyszeć i dopatrzeć.

- Ona akurat powinna mieć na temat przyzwoitych i mniej przyzwoitych zachowań najmniej do powiedzenia - podśmiewali się młodszy pracownicy wydziału. - Z obfitym zarostem na twarzy, potężnym nosem i pięćdziesiątką na karku pozostawało jej już tylko gorszenie się i obgadywanie młodych - wynikało z komentarzy narybka.

- Zazdrości młodym.

- Co ona może pamiętać z czasów, kiedy to do niej się zalecali, skoro było to bardzo dawno.

- Niemożliwe! Nie sadzę, żeby ona kiedykolwiek miała możliwość wodzenia na pokuszenie - wtórowały dwie panienki z księgowości, nieujawniające niechęci do rywalizujących o względy Władka koleżanek, bo same też miały nadzieję (może nie od razu) zwrócić na siebie uwagę przystojnego chłopaka.

Raz jeden wytypowana do zdobycia względów u Władka nie została ani Bogusia, ani Zuzanna, tylko Kasia, która siedziała w księgowości. Tam dziewczyny nigdy nie miały nadmiaru wolnego czasu. Kasię rzadko widywano na korytarzach biura. Do księgowości czasem zaglądał Władek. Jako jedyna zwracała się do niego na „pan”. Kasia i Władek zawsze rozmawiali ze sobą oficjalnie, bardzo sztucznie, jakby mieli coś do ukrycia.

- Tak właśnie bywa u tych, którzy mają się ku sobie. Tacy przecież usiłują zachowywać się, jakby nigdy nic, tylko nigdy to im nie wychodzi - stwierdził samozwańczy znawca kobiet, pan Ziutek.

- Ziutek zawsze usiłuje być oryginalny i udaje mądrzejszego od wszystkich innych - podsumowano cichaczem spostrzeżenie kolegi.

- To on powinien za nimi latać, nie odwrotnie - mówiły kobiety niezaangażowane w farsę.

- Twardy chłopak tak łatwo się nie da - mówili mężczyźni.

- Nie dość, że przystojny i inżynier, to jeszcze ma auto!

- Ciekawe, ile by dziewczyn za nim biegało, gdyby nie ten nowiutki maluch.

- Coś ty! Jakie auto, jakie auto! Przecież maluch to jeszcze nie auto, tylko produkt autopodobny, tak jak masłopodobne margaryny są podobne do masła.

- Zawsze to auto. Można dziewczynę gdzieś zawieźć, zamiast szlifować w nieskończoność bruk na deptaku od kina Nawa i stawu z łabędziami do teatru, kina Nysa i do ratusza.

- Wywieźć maluchem można, ale grzeszyć w nim to już niespecjalnie. Za mało miejsca.

- Zuzanna u Władka nie ma szans. Owszem, jest ładna, ale zbyt narowista - odezwał się zbyt mało zarabiający, by mógł z poborów zaoszczędzić na auto, pan Ziutek.

Pamiętał, jak ta dziewczyna doprowadziła do tego, że został roztrzaskany dziurkacz. Do takich nerwów go wtedy przywiodła, że i później, po upływie tygodni, chętnie jeszcze raz by czymś w nią rzucił. Najlepiej tak, żeby trafić.

- Pewnie ma diabła pod spódnicą! Dała mu po kryjomu i zwiodła.

- Skąd możesz wiedzieć! To taka miła dziewczyna - odezwał się starszawy już kierownik pracowni.

- One wszystkie udają niewinne owieczki, a w swoim czasie pokazują rogi.

- Rozkładają nogi? No to co, po to są... - Kierownik nie dosłyszał dwóch ostatnich słów, ale i tak mu się zgrabnie zripostowało.

- Tak... Śpieszy się panienkom. Niektóre są tak napalone, że aż wstydy.

- No i co z tego. Młode, ładniutkie, to co się dziwić.
- Kierownik księgowości inwestycyjnej nie podzielał obrzydzenia do kobiecej pożądlivosti. - Przecież nasze dziewczyny to też istoty żyjące - głośno myślał.
- Zresztą od kochania nikt nie umarł, co najwyżej się urodził - po namyśle dokończył dyskusję.

Guziki do sweterka

Powiew luksusu wносиła do biura Bogusia, najlepiej ubrana dziewczyna wydziału. Kończyła zaocznie zielonogórskie WSI. Jako o mało co inżynier miała stanowisko specjalisty w przygotowaniu produkcji. Sporządzała kosztorysy. Uważała, że przy takiej

pozycji zawodowej jest zobowiązana do wyróżniającej się powierzchowności. Miała na sobie wszystko najnowszej mody i próby. Prezentowała się jak lalka z ekranu telewizora. Jak jedna z bohaterek serialu „Święty”. Choćby ta najważniejsza, ta, która na koniec odcinka okazała się morderczynią.

Bogusia pierwsza na całym wydziale miała płaszcz z ortalionu, koronkową sukienkę i moherowy sweterek. Płaszcz z ortalionu miała nawet dwa – najpierw taki jak wszystkie, bo koloru butelkowej zieleni, a potem inny, pewnie z Peweksu, bo granatowy. Skórzaną minispódniczkę (z dermy, ale bardzo dobrze udającą skórę) też miała w całym kombinacie pierwsza. Wywoływała wysoką jakością wszystkiego tego, co miała na sobie, podziw i narzucała dystans. Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie takiej, która z byle kim się nie zadaje. Wyglądała na sekretarkę naczelnego dyrektora jakiejś wielkiej instytucji.

– Jak ona to zdobywa? – ciekawiły się dziewczęta z biura.

– Kto jej to wszystko wystał? – szeptano czasem.

Pewnego dnia stało się coś, co spowodowało, że koleżanki biurowe przestały tak bardzo podziwiać elegancką Bogusię. Jej czar prysnął. Ktoś puścił wiadomość, że mieszkająca przy rodzicach panienska

wszystkie swoje pobory wydaje na ciuchy, nie dzieląc się nimi z rodzicami. Plotka nie wywołała szczególnej zawiści ani potrzeby potwierdzenia. Raczej politowanie.

- Jak ona sobie w prawdziwym życiu poradzi? - szeptały najbliższe przyjaciółki Zuzanna i Katarzyna.

Zuzanna oddawała prawie całą wypłatę matce. Inaczej by nie mogła. Też chciała być elegancka. Kiedyś udało jej się kupić całkiem przyzwoitą podkoszulkę. Przez pół roku muliną haftowała przy dekolcie i przy rękawach przekalkowany z pożyczonej „Burdy” wzór, żeby upodobnić ją do takiej żurnalowej.

Przeciwieństwem Bogusi - nie tyle pod względem elegancji, bo ubrana zawsze schludnie i gustownie, co w nadążaniu za modą - była Katarzyna. Właściwie to czasem jakby nadążała - ale ledwie, ledwie. Ostatnia ze wszystkich miała bluzkę z kryształków, ostatnia nosiła sukienkę z bistoru, ostatnia miała płaszcz z ortalionu. Za to jako jedna z pierwszych zrobiła sobie szydełkiem torbę ze sznurka do snopowiązałek.

Z tym sznurkiem było tak, że kiedy był potrzebny, to go brakowało, ale kiedy już go dostarczyli - to w nadmiarze. U Kasi na wsi, w Letnicy, po żniwach jeszcze została cała szpula. Dziewczyna miała na robótkę codziennie po kilkadziesiąt minut w czasie

podróży. Dojeżdżała pociągiem ze swojej wsi cztery stacje. Odjazd pociągu miała pół godziny po zakończeniu dnia pracy. Tylko tyle, żeby zdążyć.

Jej starsza siostra Zosia była siostrą oddziałową w dużym wojewódzkim szpitalu. Uchodziła za bardzo elegancką kobietę. Dla Katarzyny stanowiła żywy przykład na to, że z miastowymi można sobie poradzić. Zosi droga ze wsi do miasta kojarzyła się z szosą, którą rodzice albo rodzeństwo odprowadzali ją w niedzielę wieczór na stację kolejową. Stamtąd jechała do swojego internatu dla uczennic liceum pielęgniarstwa w Zielonej Górze. Przez całe życie zapamiętała ten odcinek szosy jako najpiękniejszą trasę na świecie.

Zawsze ktoś niósł torbę ze słoikami z domowym smalcem albo peklowaną wieprzowiną. Zawsze zapatrywano Zosię w kawałek upieczonego w piecu placka – najczęściej drożdżowego z kruszonką. Zawsze wyściskano ją na pożegnanie. To ciepło od przytulenia się do mamy, taty, siostry albo brata nie pozwoliło zmarznąć nawet wtedy, gdy ten i ów miastowy potraktował Zośkę – dziewczynę ze wsi – lodowato. Zawsze ta szosa była dla niej piękna. Wiosną i latem, kiedy wszystko kwitło i zatrzymywało wzrok bogactwem kolorów, postrzegała szosę jako

bajkowo piękną, jak w raju, natomiast kiedy szaruga, zamieć, plucha i zasy - wtedy było tajemniczo i strasznie. Przy niepogodzie trzy kilometry stanowiły dla ambitnej Kasi po prostu wyzwanie.

Tylko na początku zamieszkiwania w internacie bywało jej smutno i obco. Jak przyjeżdżała na niedzielę do domu, to wcale nie żaliła się na to, że czasem krzywo na nią popatrzą. Na przykład wtedy, gdy odezwała się bardziej swojsko, z przyśpiewem. Na szczęście zacięła się, zniosła przykrości i już po kilku tygodniach uchodziła nawet wśród miastowych koleżanek za swoją. Na szczęście w sześciopokojowym pokoju w bursie były jeszcze trzy wiejskie dziewczyny. Od początku zaczęły się bardzo często, aż za często, myć w łazience przypadającej na jedno piętro, pilnie uczyć, tak żeby przynajmniej nikt z nauczycieli nie popatrzył krzywo, i już poszło.

Po znaczących spojrzeniach i uśmiechach, jakie koleżanki między sobą wymieniały, Zosia domyśliła się, że ma za długie spódnice, że zakłada zbyt grube pończochy, że powinna nosić beret, a nie chustkę i że guziki jej sweterka wcale nie są pod kolor.

Czas potrzebny na stanie się lubianą koleżanką i przekonanie do siebie miastowych okazał się krótszy niż ten, w którym zmieniła swoje ubrania na

takie, jakie się nosi w mieście. Już przed maturą miała narzeczonego. Wzięła ślub w czerwcu – dwa tygodnie po zdaniu egzaminu dojrzałości, tydzień przed jego pójściem do wojska. Później też mieszkała w internacie, ale dla pielęgniarek, przy ulicy Jedności Robotniczej. Stała się panią z miasta.

Młodsza Katarzyna chodziła na dworzec PKP tą samą szosą, która wydeptała dla niej siostra. Też dojeżdżała do internatu, odprowadzana przez bliskich. Do towarzystwa w szkole i w bursie przystosowała się dużo szybciej. Przykład siostry dawał jej pewność siebie, a jej rady – jako siostry doświadczonej w opanowywaniu świata miastowych obyczajów i zasad – pozwoliły uniknąć niektórych błędów. Były one zaskakująco proste.

- Nie próbuj przede wszystkim ukrywać swojej wiejskości – napominała Kasię Zosia. – Wcale ci to nie zaszkodzi, jak otwarcie przyznasz się do tego czegoś dobrego, czego wieś cię nauczyła i co ci przeszkadza być miastową. Nie przejmuj się głupotą innych. Śmieją się z kiszienia kapusty – niech się śmieją. Jeśli chcą ujawniać swoją głupotę, to trudno. Bądź ponad to. Wiesz swoje i tego się trzymaj! Choćby tego, że ty więcej potrafisz zrobić w kuchni niż miastowe. Umiesz zakisić kapustę? Umiesz! A miastowe?

Nie byłabym tego pewna. W kuchence w internacie pokazałam, jak się robi prawdziwy twaróg. Poczęstowałam wtedy tym twarogiem wychowawczynię i panią Józję z portierni. Jak chwaliły! Dokładnie rozważaj, kiedy warto z miastowych koleżanek wziąć przykład, a kiedy nie, bo wcale nie muszą być mądrzejsze od ciebie.

- Zazdroszczę wam, że codziennie w drodze do pracy możecie obejrzeć wystawy sklepowe i ładnie ubrane dziewczyny - zwierzyła się kiedyś Katarzyna w biurowych pogaduszkach.

- Zostań kiedyś po pracy w mieście i rozejrzyj się - namawiały koleżanki, gotowe przenocować dziewczynę, żeby nie narażała się na powrót do domu nocnym pociągiem.

Kasia obiecywała, że kiedyś naprawdę skorzysta z możliwości zrobienia zakupów w mieście. Zawsze było „nie jutro” i jeszcze „nie w tym tygodniu”...

Od roku zakładała te same dwie spódnice, tylko trzy bluzki na zmianę i od trzech lat jeden płaszczyk. Jeden z jej sweterków był kiedyś postrzegany jako dwa różne. Było to tak: mama Kasi przez zimę wydzierała na drutach śliczny rozpinany z przodu na siedem guzików blezer. Guziki kupił w mieście jej tato. Zrobiłby wszystko dla córek, żeby tylko

miały lepiej od rodziców i stały się już całkiem miastowe. Nie zważał na podśmiewanie się sąsiadów z tego, że chłop bierze się za załatwianie babskich spraw. Na przykład takich jak kupienie guzików do sweterka. Stał za tym sprawunkiem prawie godzinę, bo rzucili moherową włóczkę. Usłyszał w kolejce głosy, że nie powinien tu stać, bo jeśli mężczyzna stoi za damskimi drobiazgami, na których nie ma prawa się znać, to na pewno chce wykupić chodliwy towar na spekulację.

- Pewnie dla całej wiochy będzie chciał włóczki nakupić.

- Wystają całymi rodzinami, bo w polu o tej porze robota skończona, a potem sprzedają na targowiskach po wyższej cenie.

- Pani zna się na spekulowaniu, więc na pewno kupuje na handel! - odciął się zupełnie trafnie Jakub.

- Proszę nie sprzedawać więcej niż dwa motki.

- Co pani wygaduje - odezwała się kobieta z kolejki - dwa motki wystarczą tylko na szalik. Jak któraś chce sweter, to nie wystarczy.

- Na sweter wystarczy pięć.

- Nie wystarczy pięć. Musi być siedem.

Za sprzedawaniem większej liczby atrakcyjnego towaru byli kolejkowicze blisko lady, bo spodziewali

się, że dla nich wystarczy, natomiast ci przy drzwiach sklepu albo jeszcze na ulicy przed sklepem chcieli re-glamentacji, żeby i im się dostało.

Tato Katarzyny, Jakub Bartosz, w czasie powyższej wymiany zdań był już w połowie ogonka, kiedy zdał sobie sprawę, że ma okazję zdobyć coś bardzo atrakcyjnego dla żony albo córki. Podał ekspedientce w sklepie kartkę z zapisem „Siedem guzików do zielonego swetra” i dostał je. Miały jakby zielony odcień, ale nie bardzo pasowały do sweterka, bo były z czterema dziurkami, więc raczej do zapięcia przy spodniach albo spódnicy. Mężczyzna poprosił jeszcze o pięć motków różowego moheru, ponieważ moher różowy szybciej znikał. Zrezygnował z kupna dla siebie nowych portek, zabrakło już czasu i pieniędzy.

- Co tam, stare się pozaszywa i będą dobre - pocieszył się.

W domu okazało się, że w różowym nie będzie dobrze ani matce, ani córce. Guziki też nie bardzo pasowały. Przynajmniej w odczuciu Katarzyny. Koleżanki z biura też potwierdziły, że guziki nie są takie, jakie powinny być. Za kilka tygodni, dyskretnie, żeby tato nie zauważył, wymieniła je. Przez jakiś czas usiłowała się ojcu w tym odświeżonym blezerze nie pokazywać... Córki i żona nie miały serca powiedzieć ojcu prawdy, że

różowa przędza niepotrzebna, bo każda w rodzinie miała zbyt bladą skórę, żeby jej w różowym było do twarzy.

Wygnanie (1976 rok)

Czasem w Letnicy, wiosce Kasi Bartosz, pojawiała się u swoich kuzynów Janeczka, która też mieszkała w Zielonej Górze i pracowała w Polskiej Wełnie. Pochodziła z wioski w województwie poznańskim o nazwie Dereniówka. Starsza od Katarzyny o kilkanaście lat Janeczka była dla niej żywym przykładem na to, że w mieście niekoniecznie musi być lepiej.

- Dobrze pójść do miasta, jak się ma już jakąś szkołę. Najlepiej z maturą. Inaczej będzie się siedzieć przy taśmie albo biegać przy krosnach w fabryce i robić na akord – tak wypowiadały się wiejskie koleżanki Janki wtajemniczone w jej historię.

- Te, którym się nie udało, nie będą się chwaliły. Zamydlą oczy i już!

Jak było z Janeczką – wiadomo było to nawet każdemu dziecku, tak w poznańskiej Dereniówce, jak i w Kurkach.

- Uwiódł ją i przepadł. Jasia została z pamiątką – rozgłaszano i wyszeptywano w najróżniejszy sposób po chałupach.